

**Jan Kotwica**

Instytut Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności  
PAN w Olsztynie

**PRZENIKANIE SIĘ NAUK**  
(wykład zamkowy – 25 kwietnia 2006)

Zadanie, które przed sobą postawiłem, nie należy do łatwych, mam więc uzasadnione powody do obaw, czy uda mi się należycie je wykonać. Chcę bowiem mówić o tym, o czym myślę i o czym jeszcze publicznie nie mówiłem, chociaż wiem, że jest to ryzykowne.

Możliwe, że mówić o tym, o czym się myśli, wyda się zbyt śmiało, a nawet nieskromne. Ale w sytuacji, kiedy niemal każda informacja jest dostępna w Internecie po kliknięciu myszką, kiedy każdą książkę, i to w różnych wydaniach, możemy mieć z dostawą do domu w ciągu kilku dni, gdy każde słowo, nawet najbardziej intymne, adresowane przez telefon do jednej tylko osoby, może zostać upublicznione, to nasze przemyślenia stają się czymś jedynie własnym i być może oryginalnym, bo jeszcze niewypowiedzianym. Mimo wszystko mam świadomość zagrożeń, które od tej chwili będą mi towarzyszyć.

Zapewniam przy tym, że w przeciwieństwie do treści jednej z *Nieuczestnych myśli* S. J. Leca nie sądzę, że „na wymianie myśli zawsze tracę”. Wręcz przeciwnie, bliska zdaje mi się wypowiedź wielkiego niemieckiego filozofa Hansa Georga Gadamera, który w ostatnich latach życia (a żył 102 lata) powiedział, iż „obfitość doświadczeń, spotkań, pouczeń, rozmów, przeczytanych książek, rozczarowań znajduje ujście nie w tym, że w końcu wie się wszystko, lecz w tym, że posiada się jakąś orientację i nauczyło skromności”. Z tych słów wychodząc i występując jako prezes Olsztyńskiego Forum Naukowego, będę raczej wywoływał problemy, a nie dawał ostateczne odpowiedzi na zgłoszone pytania.

O tym, że w relacjach między ludźmi i w ocenach innych ludzi najpierw włącza się subiektywizm, nie ma potrzeby przekonywać. Dowiedziono także, iż pierwsze 15–30 sekund w kontaktach jest kluczowe dla zdefiniowania naszego stosunku i nastawienia wobec nowo poznanego człowieka w przedziale od „pozytywnie” do „negatywnie”. I trzeba potem dużo czasu, aby ten pierwszy osąd zmienić, a często odkłamać. Pewnie dlatego tak chętnie deklarujemy obiektywizm w ocenie ludzi. Ale w tej deklaracji jest niewiele więcej ponad

naszą wiarę w szczerłość własnych intencji. Bo obiektywizm nie istnieje w ludzkiej naturze. Chyba nikt nie uwolni się od swoich sympatii i antypatii. Stąd w sytuacjach trudnych lub drażliwych, uciekamy się do wielości ocen. Uważamy, że duże gremia wydają oceny bliższe prawdzie uśrednionej. Jednakże im sytuacje stają się bardziej dramatyczne, tym bardziej my także ulegamy pokusie, aby osoby lubiane wybielić, a nielubiane chętniej gotowi jesteśmy postawić pod pręgierz. Jeśli nie publicznie, to w swoim wnętrzu. Ten konflikt naszego racjonalizmu z tkwiącym w nas światem emocji jest ilustrowany także przez nasze postrzeganie treści np. wykładu lub każdego publicznego przekazu. W poważnych badaniach oszacowano, że efekt wystąpienia publicznego w 55% określa mowa ciała (*body language*), w 38% ton głosu i tylko 7% stanowią słowa. Te dane wskazują, jak z powodu naszej niewiedzy, naiwności, a czasem lenistwa dajemy sobą manipulować. Bo człowiek widzi i słyszy to, co chce usłyszeć. I jak przypomina J.W. Goethe – „Man sieht nur was man weiss”. Ponadto, dane te dobitnie uzmysławiają, jak łatwo przychodzi nam rejestrować wrażenia i jak dalece asymilacja wiedzy wymaga wysiłku, przed którym być może podświadomie się bronimy. Gdyż jest to dodatkowym obciążeniem. Dodatkowym trudem. Znojem i wysiłkiem.

Te z pozoru oderwane informacje ilustrują, jak bardzo nasze postępowanie i osady bywają irracjonalne, a oceny i zachowania są trudne do uzasadnienia. Ładnie usprawiedliwił to Milan Kundera, mówiąc: „Tam gdzie przemawia serce, nie wypada, aby rozum zgłaszał wątpliwości”. Sądzę, że nie należy lekceważyć tych słów jako tylko literackiej metafory. Także Noam Chomsky powiedział: „Zawsze więcej będziemy się dowiadywali o ludzkim życiu i osobowości z powieści niż z psychologii naukowej. Zdolność tworzenia nauki jest tylko jednym z aspektów naszego wyposażenia umysłowego. Używamy jej wtedy, gdy można, lecz na szczęście nie jesteśmy do niej ograniczeni”. I przywołuję też zdanie J. Iwaszkiewicza: „słowa me świadczą pieśnią lat zasnutę, że poeta przeczuwa więcej, niż wie mądry”. Na poglądy te nakładają się obiegowe powiedzenia, że: „Uczucie bije na głowę rozum”; „Obraz idzie przed słowem”; „To, co spektakularne, przed tym, co intelektualne”; „Spojrzenie serca widzi daleko” (R. Tagore); „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna” (B. Pascal). I jeszcze K. Lorenz: „Rzeczywiste w żadnym razie nie jest tylko to, co się daje fizykalnie zdefiniować i ilościowo zweryfikować, lecz także wszystko, co mieści się w kategoriach uczuciowości”.

Zatem świat naszych emocji i przeżyć posiada taki sam stopień realności, jak owe wymierne i policzalne rzeczy. Chcę ponadto zapewnić, że nie zamierzam budzić demonów antagonizujących przedstawicieli różnych dziedzin i dyscyplin naukowych. Jest bowiem wspólny mianownik każdej uczciwej pracy naukowej – to zgoda na spędzenie długich godzin w samotności. Z samym sobą. Penetrując problem coraz głębiej, z konieczności także zawężamy go. Otrzymu-

jemy odwrócony trójkąt – wiemy coraz więcej o coraz węższym fragmencie całości. Nagrodą za dociekania jest oryginalność doznań. Ale ma to też swoją cenę, gdyż i im dalej od banału zapuszczamy się w naszych dociekaniach, tym samotność jest większa. Ale też, jak mówił wielki serbski pisarz noblista Ivo Andrić, tylko wtedy możemy rosnać od środka. I tylko wtedy możemy zaproponować otoczeniu coś oryginalnego. Coś naprawdę własnego i dlatego twórczego.

Wiemy przy tym, że nie można mieć nawet cząstki tego, co chcielibyśmy osiągnąć. Dlatego potrzebujemy drugiego człowieka, by on swoją innością dopełnił chociaż część naszych niedostatków. Ludzie, którzy dokonali podobnych wyborów, dają nam poczucie bezpieczeństwa. Oto na obranej przez nas drodze nie jesteśmy sami i w ten sposób utwierdzamy się w słuszności własnych decyzji. Ale to inność jest prawdziwie stymulującym wyzwaniem. W tym sensie im większa i głębsza specjalizacja, tym bardziej czyjaś, ale i nasza inność może być ofertą dla drugiego człowieka. Jednakże rodzi to nowe kłopoty. Aby doświadczyć inności drugiego człowieka, musimy znaleźć czas i ochotę do wyjścia poza opłotki własnej specjalności. Musimy poznać choć w zarysie to, co ten inny ma nam do zaoferowania. Ponieważ doświadczenie inności to doznanie świata nieznanego, niedostępnego. Często nawet nie uświadomiamy sobie, że on istnieje. Na tym polega wzbogacające doznanie inności. I chyba na tym polega uniwersyteckość myślenia!

Sądzę, że dodatkowym problemem we wzajemnej komunikacji jest też to, że w tym ogromnym natłoku wiadomości atakujących nas ze wszystkich stron trudno wychwycić informacje ważne. Stąd, nawet jeśli one się pojawią, to są w tej masie hałasu ukryte jak ziarenko bursztynu na plaży – trzeba bardzo napiętej uwagi, by go nie przeoczyć. Dlatego ważne staje się nie to, co należy zapamiętać, ale to, co na pewno należy natychmiast odrzucić, tak by nawet na chwilę nie zatrzymało się w naszej pamięci. Gdyż ta rzeka nowości, wyrzucana z setek i tysięcy różnorodnych mediów, nie pozwala nam skupić się na własnych myślach. Ponadto wtłaczając nasze myśli na ścieżkę myślenia pospolitego, narzuca nam problemy często zmanipulowane. To ogranicza naszą oryginalność i tym samym pomniejsza szanse na znalezienie w sobie czegoś, co moglibyśmy zaoferować innym ludziom jako naszą inność. Wprawdzie stąd jest już niebezpiecznie blisko do stwierdzenia, że nadmierna oryginalność grozi posądzeniem arogancję. Ale jest też rewers takiego poglądu – to strach przed samotnością rodzi konformizm.

To strach przed samotnością popycha nas ku zachowaniom grupowym. W tłumie lub chociaż w grupie ci obok swoim wyborem pomniejszają tę cząstkę ryzyka, jakie niesie każda indywidualna decyzja i każdy osobisty wybór. W społeczeństwie masowym stanem chyba najbardziej pożądanym jest średniość. Jako przykład można podać slogan reklamowy: „bądź sobą, wybierz

Pepsi”. Prawda, że będziemy nadzwyczaj oryginalni, jeśli wszyscy będziemy siedzieć w tej sali z Pepsi w rękę?

Zatem raz jeszcze – nie chcę z nikim wchodzić w spór. Chcę jedynie zrozumieć racjonalność zachowań, których mógłbym w pierwszym odruchu nie akceptować. Dlatego, mimo iż reprezentuję nauki empiryczne, staram się pamiętać słowa Neila Postmana: „Rozum, jeżeli go nie wspomóże i nie utemperuje intuicja poetycka i ludzkie uczucia, staje się niebezpieczny i odrażający”.

W tym miejscu chciałbym wprowadzić krótką dygresję, do której zainspirowała mnie myśl Benjamina Berensona z 1897 r.: „Not what man knows but what man feels concerns art. All else is science”. Otóż, podkreślając ważność stanów duchowych, które najpełniej wyrażają się w sztuce, chcę nawiązać do tzw. trójkąta Bella, który powiada, że harmonia społeczna wymaga równowagi pomiędzy kulturą – polityką – ekonomią. Warunek harmonijności jest w tym przypadku o tyle trudny do spełnienia, że każdej z tych kategorii przypisana jest inna dominująca wartość:

1. Kultura, będąc wyrazem autoekspresji człowieka, popycha go ku indywidualizmowi. To właśnie sytuuje kulturę w opozycji do polityki, która zakłada równość, a więc ma charakter wspólnotowy.

2. Polityka jest obszarem wysiłku zbiorowego, polem równości i współpracy. Zatem nie zostawia miejsca na indywidualizm. W polityce niewiele jest miejsca dla solistów. Ci zawsze muszą mieć wsparcie mas.

3. Ekonomia to wydajność, zatem wyzwala w człowieku ducha rywalizacji, ducha konkurencyjności. Dlatego staje ona w sprzeczności z ideą równości, o którą zabiega polityka. Gdy jeden z tych elementów trwale dominuje, pojawia się kryzys. Zatem mądrość w tym względzie, tak jak w małżeństwie, polega na tym, by grać na remis, bowiem czyjkolwiek dominacja, czyjkolwiek wygrana w tym meczu jest najczęściej wspólną porażką.

Zostawiam ten wątek, chociaż w jego obszarze jest cały ogrom pytań. Chciałem jedynie wskazać, że kultura, a zwłaszcza elita kultury, czyli sztuka, jest niezbywalnym elementem harmonii społecznej. Na tym kończę zastrzeżenia, by przejść do tego, co ma być głównym przesłaniem mojego wykładu. Otóż często zastanawiałem się, dlaczego na zamkowe wykłady humanistów przychodzą przedstawiciele nauk przyrodniczych, a na wykłady np. z biologii humaniści przychodzą mniej licznie lub wcale. Czy nie są ciekawi tego, czego mogliby się dowiedzieć? W tym kontekście odwołam się do odległego w czasie wakacyjnego zdarzenia z okresu moich studiów.

Dziewczyna, która studiowała historię albo historię sztuki, dowiedziawszy się, że ja z kolei na moich studiach stykam się ze zwierzętami, zaczęła mnie pytać: „Jak się nazywa mąż świni? A mąż krowy. A jak nazywa się żona konia?”. W którymś momencie odpowiedziałem nieuprzejmie, że prawdopodob-

nie gdybym nie czytał Zoli, Dostojewskiego czy nie znał literatury iberoamerykańskiej, której boom wtedy się zaczynał w Polsce (był to przełom lat 60. i 70.); albo gdybym nie umiał odróżnić van Dycka od van Wydena, to zapewne uznałaby mnie za prostaka. Dlaczego zatem bez zawstydzenia można przyznać się do tak elementarnej niewiedzy: jak nazywa się żona konia?

Jednakże z perspektywy minionych lat i moich przemyśleń oraz doświadczeń nie byłbym obecnie tak kategoryczny w sądach na ten temat. Przeciwnie. Chciałbym raczej bronić tezy, że: *człowiek zachowuje się racjonalnie, mając większe zapotrzebowanie na sztukę wyrażającą świat przeżyć niż na świat konkretów i na prawdy naukowe*. Jak zauważa R. Kapuściński: „istnieje płaszczyzna, na której człowiek współczesny mógłby się porozumieć z człowiekiem sprzed 2 tysięcy lat. Są to emocje. Miłość, nienawiść, strach – wszyscy przeżywamy i przeżywaliliśmy to tak samo. Dlatego można współcześnie czytać *Iliadę* i Herodota”. Wszak potrzeba wyrażania swoich emocji, swoich stanów ducha jest bardziej pierwotna. Jest bardziej archetypiczna niż nauka.

Sztuka jest wyrazem naszego świata emocji, odczuć, tęsknot, nienazwań, poczucia piękna lub brzydoty. Tak, sztuka, albo szerzej kultura jest bardziej pierwotną formą autoekspresji. Ponadto pamiętać należy, że świat emocji jest filogenetycznie zlokalizowany w znacznie starszych pokładach mózgowia, w tzw. międzymózgowiu, nad którym dopiero później wytworzyła się kora mózgowa. Tak więc zdolność myślenia i racjonalnego zachowania pojawiła się później. Jest to zatem właściwość filogenetycznie młodsza. To dlatego człowiek, zanim odkrył prawo grawitacji i je nazwał, wcześniej wykonał malowidła naskalne w grotach Lascaux czy w pieczarach Altamiry. Malowidła te powstawały wiele lat wcześniej, nim odkryto istnienie ciśnienia atmosferycznego i zanim Francis Bacon i David Hume stworzyli podstawy formułowania zasad prawdy naukowej.

Literatura łagrowa często podaje, że panie uwięzione w sowieckich gułagach wymieniały między sobą przepisy kulinarne, by tym sposobem, choć w swoim wnętrzu, ocalić resztki nadziei na lepszą przyszłość, nadziei na normalne życie. Myślę, że chyba podobnie jest ze sztuką, która jednakowo odbijała (odwzorowywała), ale i zaklinała rzeczywistość. Używam czasu przeszłego, gdyż Picasso powiedział, że „maluje nie to, co widzi, ale to, jak myśli o tym, co widzi”. Może więc ciała pokonanych zwierząt na malowidłach naskalnych wyrażały tęsknotę za sytością i dawały poczucie najedzenia, pokonania głodu. Konające zwierzęta były symbolem dostatku pożywienia, bo najpewniej ówczesny człowiek żył w stanie permanentnego niedożywienia, a może nawet głodu. Głód zaś w hierarchii pierwotnych potrzeb Abrahama Maslova sytuuje się na drugim miejscu po zaspokojeniu snu. Głód jest bowiem aproksymacją śmieci. Jest zapowiedzią śmierci. Nie najem się, to umrę. Dlatego głód jest w stanie wywoływać najbardziej egoistyczne zachowania. I dlatego też

w prawodawstwie niektórych krajów jest okoliczność łagodząca za przestępstwa z ubóstwa. Podobne tęsknoty dotyczące potrzeby zaspokojenia głodu wieki później wyraził Pieter Bruegel, malując *W krainie leniuchów* – apoteozę sytego życia w czasach głodu i nędzy z okresu okupacji Niderlandów przez Habsburgów hiszpańskich. Obsesyjnym motywem malarskim Niko Pirosomaniego – ubogiego, niedojadającego gruzińskiego prymitywisty – były uczy przy bogato zastawionym stole. Obrazy osaczonych zwierząt na malowidłach ludzi pierwotnych, podobnie jak *Wenus z Willendorfu*, uosabiały pragnienia pierwotnego człowieka. *Wenus z obfitymi piersiami i pełnymi biodrami* była symbolem kultu płodności. Kultu obecnego także, choć w inny sposób, w kulturze judeo-chrześcijańskiej w potępieniu grzechu biblijnego Onana. Wszak rozrodczość, a więc i liczebność była warunkiem przetrwania plemion koczowniczych. A w jaki sposób silniej i skuteczniej zapewnić ten wymóg niż poprzez groźbę grzechu, potępienia czy ostracyzmu? Jednakże dopuścić trzeba także możliwość, że malowidła te były formą artystycznej ekspresji naszego praprzodka, że miał on już takie potrzeby. Zatem malowidła naskalne byłyby próbą wyrażenia tego, czego nie dało się nazwać słowem.

Także i później ekspresja zastępowała słowa. Van Gogh powiedział o obrazach Rembrandta: „na opisanie niezwykłości jego malarstwa nie ma słów w żadnym języku”. Ale nawet gdyby takie słowa były, to nie byłyby one w stanie wyrazić harmonii barw w malarstwie lub harmonii dźwięków w muzyce. Cóż bowiem wynika dla czytelnika ze słów znawcy muzyki, który tak opisywał koncert wiolonczelowy wykonany przez Sergiusza Prokofiewa: „Ten oryginał nad oryginały był wprost niezdolny do tego, by posługiwać się językiem cudzym. Musiał wymyślić własny. I wymyślił: styl ostry, spiczasty, kanciasty, z nieprzybliżanymi kadencjami fraz, z harmonią dającą wrażenie nieustannego trafiania obok dalszych ciągów, których można by oczekiwać, z fragmencikami – dla osłody – przymilnych chromatycznych gamek i liryzmem wolnych części piłującym, świdrującym, kwaśnym jak cytryna”. Prawda, iż wcale nie mamy wrażenia, że słowa te zastąpiły koncert?

Zauważmy przy tym, że sami także doświadczamy niedostatku słów i wtedy pozostaje nam zdanie kierowane do naszego rozmówcy: „wiesz co mam na myśli?” Zwykle wówczas ktoś skwapliwie potwierdza, że tak. Wie. Chociaż chyba bardziej prawdopodobne, że sam chce sobie zarezerwować prawo do posłużenia się w podobnej sytuacji tą mantrą: „wiesz co mam na myśli?” w sytuacji, kiedy to jemu zabraknie słów, by wyrazić swój stan ducha. I, by zamknąć tę kwestię, możemy przywołać nasze własne doświadczenia, że dziecko, zanim nauczy się liczyć lub czytać, będzie rysować. Będzie tworzyć świat iluzji, świat teatru. Natomiast przyswojenie wiedzy wymaga wysiłku, wymaga trudu. Konkludując, świat emocji jest nam dany. Wiedzę trzeba sobie w trudzie przyswoić.

Możliwe ponadto, że do tego dochodzi specyfika narodowej tradycji. W jednym z *Lapidariów* Ryszard Kapuściński zauważył: „Dwa wybitne polskie talenty filozoficzne okresu międzywojennego: Karol Koniński i Bolesław Miciński. Zmarli młodo (obaj w 1943), a więc rok wcześniej niż dwaj nasi wielcy poeci tego okresu – też ofiary ostatniej wojny – Krzysztof Baczyński i Tadeusz Gajcy. Jak różna jest dziś pamięć o tych ludziach. Nazwiska Baczyńskiego i Gajcego są powszechnie znane, ich wierszy młodzież uczy się na pamięć. A kto poza wąskim gronem filozofów, słyszał o Konińskim lub Micińskim? Poezja, nie filozofia jest naszą muzą narodową. Nastrój, emocje są nam bliższe niż krytyka i refleksja. Przeżycia stawiamy wyżej niż przemyślenia. »Czucie i wiara mówią do nas silniej niż mędrca szkiełko i oko«”. Ryszard Kapuściński dodaje: „i to się nie zmienia”.

Proszę w tym kontekście zauważyć, że w polskim języku wyrażenie „eee... filozof” wyraża lekceważenie i ma też na celu pomniejszenie osoby, która chce zrozumieć choć trochę bardziej złożoną kwestię. Zwykle odpowiadam wówczas słowami, których źródła nie pamiętam: „Mędrzec o nic nie pyta, bo zna odpowiedzi na wszystkie pytania. I głupiec o nic nie pyta, bo nic go nie interesuje. Zaś rozumny człowiek stawia pytania i poszukuje na nie uczciwych odpowiedzi. Którym z nich trzech ty jesteś?”

Wspomniałem wcześniej, że nabycie wiedzy jest wysiłkiem. Jest pracą. Dlatego chciałem teraz wprowadzić krótką dygresję na temat odpoczynku jako przeciwieństwa pracy, które to pojęcie potem będzie mi potrzebne. W II Księdze Mojżeszowej znajdziemy takie słowa: „Przestrzegajcie więc sabatu, bo jest dla was święty. Kto go znieważy, poniesie śmierć, gdyż każdy, kto wykonuje weń jakąkolwiek pracę, będzie wytrącony spośród swego ludu”. Erich Fromm w taki sposób interpretuje powyższe słowa: „W religii judeo-chrześcijańskiej sobota (Saturday) jest dniem Saturna, który był bogiem śmierci, a więc przemijania – czasu. Ten wątek jest obecny także w twórczości Francisca Goi (*Saturn pożerający swoje dzieci*). Dlatego też szabat (w tradycji chrześcijańskiej niedziela) to dzień, w którym ziemia i cały biosystem winien regenerować się po okresie ingerencji weń człowieka. Pracą jest wszelka ingerencja w sprawy świata fizycznego, zakłócająca równowagę między naturą i człowiekiem. Natomiast odpoczynek, a więc szabat, a także każdy dzień święty jest stanem pokoju i harmonii. Dzięki temu przynajmniej przez jeden dzień w tygodniu człowiek wyzwala się z okowów natury i z więzów czasu, gdyż nie pracując, nie zmieniał świata. A zmiana dzieje się w czasie. Zatem brak zmian jakby unieważniał czas. W takim ujęciu wypoczynek stawał się też wolnością i uwolnieniem się od czasu. Wypoczynek stawał się więc namiastką wieczności. Tak rozumiałem interpretację szabat u Fromma.

Prymat, a właściwie pierwotność kultury i sztuki względem wiedzy może być zrozumiała z jeszcze jednego powodu. Otóż stosunek do powinności, do pracy, do wysiłku ma różnorakie uzasadnienie:

1. W pocie oblicza twego będziesz jadł chleb twój – powiedział Stworzyciel po upadku człowieka.

2. Praca to zniewolenie według wczesnych marksistów.

3. Praca to jedyny uczciwy stosunek do otaczającego świata, którego entropii tylko pracą możemy się przeciwstawić, rozumnie porządkując otaczający nas fragment świata.

Jak wspomniałem wcześniej, człowiek pierwotny żył w stanie ciągłego zagrożenia i niedożywienia. Może nawet chronicznego głodu. Zatem tchórzostwo było wówczas cnotą i logika wskazywała, by najeść się do syta i odpoczywać, gdyż tym sposobem oszczędzało się nabytą energię.

Zatem kultura i sztuka jako bardziej pierwotne potrzeby człowieka są też elementarnym fragmentem jego wyposażenia. Wynikają z pierwotniejszej potrzeby – ekspresji uczuć i nastrojów. Są bardziej zabawą niż pracą. Bardziej przyjemnością niż powinnością. Pewnie dlatego ktoś zajmujący się biologią, fizyką, matematyką itp. będzie odczuwał potrzebę posiadania wiedzy z zakresu kultury i sztuki jako potrzeb bardziej pierwotnych. Bardziej elementarnych. Zaś ludziom zajmującym się kulturą i sztuką ten pierwotny świat może wystarczyć.

Media skutecznie utrwalają ten stan. Kiedy w 1980 r. został zastrzelony John Lennon, niemal wszystkie stacje radiowe w USA (akurat byłem na stypendium w Stanach) nadawały muzykę tego artysty. Ale kiedy w 1995 r. zmarł Jonas Salk, który uwolnił ludzkość od wirusa polio wywołującego chorobę Heinego-Medina, CNN poświęcił temu wydarzeniu około 15 sekund w jednym z serwisów informacyjnych. W naszych mediach nie natknąłem się na żadną informację. Na tym tle trudno zauważyć, choćby przeciętne, starania olsztyńskich mediów, by czytelnik dostrzegał obecność nauki w życiu naszego środowiska. Zatem oczekujemy, że człowiek winien być kulturalny, cokolwiek by to znaczyło, ale nie domagamy się, aby w takim samym stopniu znał teorię dziedziczenia, metodę amplifikacji materiału genetycznego czy zasadę turboładowania we współczesnych silnikach. Zawarte jest to w słowach, które usłyszałem z ust prominentnej osoby w naszym środowisku: „... bo my, humaniści, to zupełnie nie rozumiemy, o czym wymówicie, nauczając biologii...”. Zdziwiło mnie, że takie zdanie można wypowiadać bez obawy narażenia się na zarzut, iż stąd już blisko do ograniczoności. Ale wychodząc z tych przesłanek, jest dla mnie zrozumiałe, że powinienem przychodzić na koncerty zespołu Pro Forma albo Pro Musica Antiqua, ale członkowie tych zespołów nie muszą w równym stopniu odczuwać potrzeby słuchania mnie.

Jest jeszcze jeden element, który należy wziąć pod uwagę. Wspomniałem wcześniej, że kultura jest pierwotniejszą formą autoekspresji. Jest ona także przedsięwzięciem indywidualnym, a więc łatwiej, przynajmniej teoretycznie, je zrealizować. Ma to jednak istotne konsekwencje. Dzieło indywidualne powstało



w samotności, zatem wymaga akceptacji innych, otoczenia. Bo artysta nie tworzy dla siebie. Wyraża swoje widzenie świata obrazem, słowem, dźwiękiem, zagospodarowaniem przestrzeni i spodziewa się znaleźć potwierdzenie swojej wizji w oczach innych ludzi, by tym sposobem pozyskać ich do własnego widzenia i uwolnić się od dotychczasowej samotności.

Po zapisaniu tych słów natknąłem się u Cz. Miłosza na akapit współbrzmiający z moimi myślami: „bo artysta, poeta czy malarz, trudzi się i co dzień ściga wymykającą mu się doskonałość, ale zadowolony z wyniku jest tylko przez chwilę i nigdy nie ma pewności, że w tym, co robi, jest dobry”. Tak więc twórca sztuki, będzie się starał zaspokoić potrzeby estetyczne. Swoje, ale i otoczenia. Ma to istotne konsekwencje, bo jak zauważył chyba J. Brodski: „w całych dziejach obcowania ludzi z ludźmi, estetyka zawsze poprzedzała etykę”. Jeśli więc sztuka jest przejawem indywidualnego trudu, to dociekanie naukowe musi zakładać wysiłek zbiorowy. Zwłaszcza nauka eksperymentalna, która niemal z definicji jest przedsięwzięciem zbiorowym. Właściwie prawdziwy rozwój nauki nastąpił wówczas, kiedy w 1660 r. w Anglii rozpoczęto wymianę korespondencji naukowej. Od tego czasu stała się ona działalnością zbiorową. Zbiorową jako całość poprzez udostępnianie innym wyników swoich badań, ale także zbiorową w odniesieniu do konkretnych zadań. Bo nauka to także wyścig, a w zespole szybciej osiąga się zamierzone cele, dzięki czemu będzie można ubiegać się o nowe fundusze. Normą w naukach biologicznych są zespoły 3–7-osobowe i liczniejsze. Rekordzistami w tym względzie są fizycy doświadczalni. W *Physic's Letters* natknąłem się na publikację, która miała ponad 1200 autorów. Zatem w nauce eksperymentalnej nie ma miejsca na samotność. Ale dzięki temu w chwilach zmęczenia czy zwątpienia wsparcie otrzymujemy od pozostałych członków zespołu, od statystyki, która weryfikuje nasze hipotezy robocze, i od recenzentów, którzy swoją wiedzą namaszczają nasz tekst jako nadający się do publikacji. Zamykam ten fragment rozważań na temat innego charakteru pracy w tych dwóch grupach zakresowych. Przynajmniej ja tak je postrzegam.

Wracam więc do pytania: mędrca oko czy szkiełko? Serce czy rozum? Wrażliwość czy chłodna ocena, albo nawet kalkulacja? Przechodząc na grunt naukowy – zdania wartościujące czy statystyczne oszacowanie? Wprawdzie od XVI–XVII w. racjonalizm rozbudził w ludziach nadzieję, że oto rozumem ogarniemy to wszystko, czego jeszcze dotąd nie zrozumieliśmy, a dzięki nauce uzyskamy dostęp do ostatecznej prawdy. Tak narodził się scjentyzm, ale i on nie oparł się krytyce. Nasze nadzieje na uzyskanie prawdy ostatecznej podważyła głównie teoria względności Einsteina. Ten pogląd chcę uściślić. Nie neguję istnienia prawdy absolutnej, lecz to jedynie, że nikt nie jest w jej posiadaniu i nie powinien twierdzić, że ją reprezentuje. Przekonanie, że posiadało się prawdę, byłoby groźne zdaniem Zygmunta Baumana. Zakładałoby

bowiem, że liczba błędów jest nieskończona, zaś prawda jest zawsze jedna. Czyli jeśli ja posiadam prawdę, to każda odmienność jest ułomna. A to dałoby mi prawo do różnorakiego napiętnowania poglądów odmiennych od moich. To w tym sensie Bauman mówił, że „Holokaust był konsekwencją wiary w rozum”.

Oczywiście nikt nie kwestionuje ogromnych dokonań nauki. Ale też pamiętamy, że dotychczasowy postęp w rozumieniu świata był możliwy dzięki stosowaniu zasady „dziel i zdobywaj; dziel i ten mały fragment poznaj”, a także dzięki nadziei, że kiedyś te poznane, choć rozproszone elementy uda się złożyć w sensowną całość. Równocześnie coraz częściej uzmysławiamy sobie, że wiedząc więcej, wcale nie jesteśmy mądrzejsi, gdyż równie duże problemy mamy ze rozumieniem całości. Nauka, chociaż poszerzyła niewiarygodnie nasze rozumienie świata, tak jak przed wiekami jest bezradna wobec tajemnic i pytań wyrażonych przez starożytnych mędrców, co ilustruje jej i naszą ułomność. Możliwe zatem, że w tym miejscu pozostaje już tylko sztuka jako sposób nazwania i opowiedzenia świata. Pozostaje poezja i świat metafor oraz dźwięków zdolnych wyrazić nasze uczucia, emocje, niepokoje, niedookreślone doznania. Dlatego proroczo brzmią wypowiedziane przed wielu laty słowa Thomasa Eliotta: „... gdzie mądrość ukryta w wiedzy i gdzie wiedza utracona wśród informacji...”. Stąd mimo ogromnych sukcesów nauk ścisłych czy biologicznych, podstawowe pytania dotyczące bytu człowieka pozostały bez naukowych objaśnień. Chyba że zgodzimy się na uproszczone odpowiedzi. Na mój własny użytek cenię sobie słowa B. Pascala: „w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania najważniejsze dla człowieka rozum jest bezradny”. Może dlatego współczesne społeczeństwa z takim zdziwieniem zderzyły się z wielkim mitem Oświecenia, że oto rozum zwycięży przesąd. Kiedy zapełnimy szkoły, to opustoszeją kościoły. A jednak intensywne operowanie kryteriami wyłącznie racjonalistycznymi uzmysławia w którymś momencie potrzebę refleksji metafizycznej. I nie sądzę, że w tym spotkaniu nasz rozum jest w konflikcie z irracjonalnością, z tym światem uczuć, niespełnienia, emocji, nastrojów i całego ogromu nienazwania, które jest w nas, lub którego obecności domyślamy się, i który to świat oddziałuje na nasz los z taką samą siłą jak świat, który możemy ogarnąć rozumem.

W nauce poszukujemy prawdy. Z tego względu uważa się czasem naukę za zsekularyzowaną postać religii. Ponieważ nauka tak jak religia chce głosić prawdę. O ile jednak religia głosi gotową prawdę, bo objawioną, nie wymagającą dowodów, a jedynie wiary, o tyle nauka oferuje prawdę weryfikowalną, osiągniętą według powtarzalnej metodologii, poddającą się falsyfikacji – jak chce Karl Popper. Zatem religia już zna prawdę, zaś nauka usiłuje dochodzić do prawdy. Prawdy naukowe znajdziemy w praktycznych osiągnięciach: w medycynie, przemyśle, rolnictwie, astronautyce, biotechnologii i innych dziedzinach

naszego życia. Ale też w tym kontekście teoria względności Einsteina uzmysławia, że nazywa się rzeczy nie względem jakiegoś absolutu, a jedynie w ich relacji między sobą. Znamy to uczucie bardzo dobrze z własnego doświadczenia. Nawet nie ból zęba lub ustąpienie bólu, ale wystarczy dzień słoneczny albo pochmurny, aby ten sam przedmiot czy zdarzenie przyprawiało nas o zupełnie inne do niego nastawienie. I ten rodzaj szczególnej schizofrenii, szczególnego rozdwojenia jest nam na trwałe przypisany. Jednocześnie ten irracjonalny świat jest albo raczej ma szansę być naszą niepowtarzalną jedynością, dlatego że postrzeganie przez nas otaczającego świata zawsze będzie zabarwione subiektywizmem, spotęgowane naszym stanem emocjonalnym. To samo w różnym czasie, to nie jest to samo.

W *Widnokregu W.* Myśliwskiego mądry nauczyciel wyprowadził ucznia na rynek, możemy się domyślać, że w Sandomierzu, i mówi do niego: „I co widzisz? No, tak wokół siebie co widzisz? Rozglądnij się dobrze. A co jeszcze? No a tu co widzisz? Spokojnie, nigdzie nam się nie spieszy. I nauczyciel dodaje: „bo tego, co ty widzisz, nikt inny nie widzi. Choćby widział dużo więcej”. Znamy to bardzo dobrze z autopsji – ilu by nie było świadków zdarzenia, to każdy zauważy coś innego gdyż stan emocjonalny istotnie wpływa na nasze postrzeganie świata. Natomiast przedstawienia sobie rzeczywistości, która nadejdzie, nie można dokonać bez uruchomienia wyobraźni, a wyobraźnia zawsze przerasta rzeczywistość. Mamy bowiem wiele scenariuszy naszej przyszłości, ale zostaną one potem zredukowane do tego jedynego zdarzenia, które spełni się w danej chwili. Dlatego różnimy się nie tylko spojrzeniem na teraźniejszość, ale też wpływa ono na to, jak postrzegamy czas miniony i jak antycypujemy zdarzenia przyszłe. Ponadto, wyobrażenie przyszłości jest napiętnowane naszymi doświadczeniami, uzależnione od minionych zdarzeń.

Warto przypomnieć, że nasze wrażenia rejestrowane przez zmysły są przekładane na język zjawisk chemicznych i elektrycznych przez komórki naszego mózgu. Przy czym w mózgu jest około 100 miliardów komórek nerwowych. Chociaż natknąłem się na informację, że jest ich 1 bilion. Obie wielkości są dla nas jednakowo niewyobrażalnie duże. Ale liczba komórek to jeszcze nie koniec skomplikowania mózgu, gdyż każda komórka swymi wypustkami kontaktuje się przeciętnie z tysiącem innych komórek na drodze połączeń synaptycznych. Stąd szacuje się, że fragment kory mózgowej wielkości główki zapalki zawiera około 1 miliarda synaps. Skomplikujmy ten obraz jeszcze bardziej. Językiem komórek, za pomocą którego się komunikują, są sygnały chemiczne, czyli wydzielane przez komórki substancje chemiczne. A każda komórka nerwowa może uwalniać do pięciu różnych sygnałów chemicznych, tzw. mediatorów i modulatorów, którymi wpływa na inną komórkę. Przy czym w ogóle komórki nerwowe mogą uwalniać ponad sto różnych mediatorów. Zatem mimo wspólnych zasad w tym względzie u każdego człowieka, moż-

liwość wynikających z tego kombinacji oddziaływania na konkretną komórkę jest na ludzką miarę nieskończona.

Posłużmy się uproszczonym przykładem i przyjmijmy, że na komórkę oddziałują zakończenia innych komórek, które losowo wydzielają sto różnych mediatorów. Zatem otrzymujemy  $2^{100}$  kombinacji. To przez pryzmat takich uproszczonych przykładów widać naszą niepowtarzalność, indywidualność naszych odczuć oraz ich nieprzekładalność na język zrozumiały dla innych. W tym miejscu warto przypomnieć słowa L. Wittgensteina, że granice poznania wyznaczają granice języka – tak jakby to, co nie nazwane, w ogóle nie zaistniało. A przecież to nieprawda, bo ten świat nienazwany ma taki sam stopień realności, jak świat dotykalny. Czyli w indywidualności naszych odczuć zawiera się nasze osamotnienie, bez możliwości ostatecznego zweryfikowania i porównania naszych wrażeń z odczuciami innych ludzi. Czyli wolność wyboru jest też wyborem określonego rodzaju samotności. Możliwe, że to w tym kontekście poeta ks. Jan Twardowski z pokorą właściwą ludziom głęboko wierzącym napisał w jednym z wierszy: „gdyby wszyscy byli tacy sami, to nikt nikomu nie byłby potrzebny. Dzięki Ci Panie, że sprawiedliwość Twoja jest nierównością”.

By odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak jest, chciałbym się wesprzeć dygresją. Pomyślałem kiedyś tak: jeśli niektóre z naszych zachowań (jak życzliwość, uprzejmość, optymizm, współczucie itp.) są nagradzane przez otoczenie, z kolei inne nasze cechy sprawiają, że narażamy się otoczeniu, które w odpowiedzi karze nas lub nawet odrzuca, to dlaczego te pożądane zachowania nie zostały wpisane do pamięci gatunku? Dlaczego nie zostały utrwalone w postaci genetycznego zapisu, który byłby dziedziczony jako niezbywalny element naszego życiowego wyposażenia? Przecież oszczędziłoby to nam wielu przykrości i niepowodzeń w życiu. Nie zużywalibyśmy cennego czasu na to, by te cechy przyswoić i dzięki nim zyskać maksymalną atrakcyjność. Przyszlibyśmy na świat z gotową uprzejmością, wrażliwością, współczuciem, poczuciem obowiązku itp. Bez możliwości bycia grubiańskim, niewspółczującym, niewrażliwym na los innych, bałaganiarskim. Przecież moglibyśmy być genetycznie doskonali. Dlaczego tak nie jest? Tym bardziej że jeśli te negatywne cechy są tak bardzo z naszego ludzkiego punktu widzenia niepożądane, to z czasem liczba ludzi w nie wyposażonych powinna w drodze eliminacji zmniejszać się, aż wreszcie zaniknąć. Ale tak nie jest. Często bywa wręcz przeciwnie. Zauważamy w takich sytuacjach ze smutkiem, a czasem i poirytowaniem, że ludziom postępującym według zasad, których powszechnie nie akceptujemy, wiedzie się nawet lepiej.

Niestety, tylko z pozoru takie rozwiązanie, tzn. genetyczne wyposażenie w dobro, byłoby korzystne. W rzeczywistości byłoby to zaprogramowanie ludzi jako powtarzalnych klonów. Jako zaprogramowanie nie różniące człowieka od

zwierząt kierujących się w swoim życiu popędami. Ponadto takie rozwiązanie ograniczałoby zdolność aktywnego reagowania na otoczenie i na zmiany w nim zachodzące. Znacząco pomniejszałoby to także zmienność osobniczą – tę naszą indywidualność i niepowtarzalność. A w biologii różnorodność jest jedną z najwyższej cenionych właściwości, gdyż daje niemal nieskończone możliwości tworzenia nowych rozwiązań, przystosowań i realizacji projektów w długim okresie czasu. Otóż biologia zdecydowała za nas w sferze procesów, które warunkują nasze trwanie. Zapewniła nam to co zwierzętom – automatyzm pracy serca, perystaltykę przewodu pokarmowego, stałość ciśnienia osmotycznego, filtrację nerkową, reakcje nerwowego układu adrenergicznego, powodujące mobilizację organizmu, jako sposób reagowania na zagrożenie itp. – zostawiając nam wszakże szeroki margines dokonywania wyborów. To prawo wyboru pozwala nam w znacznej mierze decydować, jakimi ludźmi chcemy być.

Różnorodność daje również szansę na zaistnienie czegoś, co może być lepsze, niż jest dotąd. To także możliwość pojawienia się czegoś, co będzie ulepszeniem oryginału i dzięki temu lepiej przetrwa w środowisku. Różnorodność jest więc ofertą, jest tym, co francuski noblista Francois Jacob nazwał *bricolage*, tj. skład części, które mogą się do czegoś przydać, po które biologia sięgała w toku niewyobrażalnie długich okresów czasu, dopasowując wcześniejsze rozwiązania do nowych form życia. Ale jest jeszcze jedna istotna konsekwencja tej różnorodności. Tadeusz Konwicki zauważył kiedyś, że przetrwanie ludzi jako gatunku opiera się na cechach i zachowaniach, które w życiu codziennym potępiamy: na chciwości, żądzy władzy, dominacji nad innymi, narzucaniu własnej wizji. Pomyślałem, że istotnie, świat nie jest urządzony zgodnie z wizją tych, którzy znali dobro, ale tych, którzy szybciej działali. I w naszych czasach skuteczność urosła chyba do rangi szczególnej cnoty. Bo ten, kto chce, ma zawsze większe prawo. Może to niesprawiedliwe, ale to tworzy tzw. postęp. Ta nasza ludzka gorsza strona. Nic tak nie motywuje naszego działania jak emocje. Może dlatego zło i destrukcja, mimo iż obarczone zarodkiem samozagłady, częściej zwyciężają niż dobro. Bo zło i destrukcja tworzą fakty dokonane. Zaś dobro i łagodność wygasza emocje, uspokaja je i przez to pomniejsza ich wagę.

Proszę sobie przypomnieć *Księcia Machiavellego*. Z lektury wynika, że honorowy człowiek przegra w walce o władzę. Nie rozum ani umiar, ale siła i podstęp są w tym przypadku zaletami. Istotnie, władzę rzadko kiedy uzyskiwano w nagrodę za cnoty moralne. Przeważnie zdobywano ją za pomocą pieniędzy, siły, wyzysku, a także obietnic bez chęci ich spełnienia – czyli za pomocą oszustwa. Przykładów nie musimy szukać ani daleko, ani w odległym czasie. A ponadto jest możliwe, że ludzie częściej są zadowoleni w warunkach, które moralność potępia.

John Gray przeprowadził kiedyś przekonującą argumentację, że „wiedza kumuluje się przez pokolenia. Ale moralność się nie kumuluje, gdyż jest ona zawsze jednostkowym doświadczeniem i wyposażeniem człowieka i odchodzi wraz z nim”. Najlepiej ilustruje to fakt, że przyrost wiedzy w XX w. przewyższył wielokrotnie wiedzę zdobytą na przestrzeni wszystkich wcześniejszych epok. Jednocześnie skala okrucieństw była chyba jeszcze większa. Może jest to dziedzictwo wypowiedzianych wcześniej opinii, które stały się obiegową mądrością: siła przed dobrem, wielkie bataliony zawsze mają rację, ile dywizji ma papież itp.

Ten fragment rozważań chciałbym zamknąć poetycką frazą. Raczej gorzką niż piękną, którą po raz pierwszy usłyszałem na towarzyskim wieczorze w Monachium z udziałem Jacka Kaczmarskiego w połowie lat 80. W jednym ze śpiewanych wierszy Kaczmarski oskarżał Roosevelta i Churchilla za ustępstwa wobec Stalina w Jałcie:

Komu zależy na pokoju, ten zawsze cofnie się przed gwałtem  
Wygra, kto się nie boi wojen. I tak rozumieć trzeba Jałtę.  
Wielkie radziły trzy imperia, nad granicami co zatarte  
W szczegółach zaś już siedział Beria. I tak rozumieć trzeba Jałtę.

Zatem powtórzę raz jeszcze – biologia nie kieruje się normami ludzkimi. Nie zna obyczajności ani przyzwoitości, ani sprawiedliwości. Biologię interesuje różnorodność, bo to ona powiększa szanse na zachowanie życia w różnych jego przejawach. Z kolei szanse na wzrost różnorodności wzrastają w przypadku naszego niezakończenia, naszej możliwości stawania się na nowo. Czyli wiąże się to z osiągnięciem inności. Takim klasycznym przykładem niezakończenia i stawania się na nowo jest nasz mózg, który ciągle może przeorganizowywać się, przyswajając nowe informacje. Każda nowa informacja to jakościowa zmiana mózgu. Dlatego francuski antropolog Edgar Morin mówi o juvenilizacji mózgu, czyli jego nieustannej młodości i nieustannych poszukiwaniach. Pewnie więc słuszność ma Alfred Whitehead, mówiąc, że wszystkie nasze dociekania można potraktować jako przypisy do filozofii starożytnej. Bo w tym rozumieniu obracamy się ciągle w kręgu tych samych kilku pytań. Pytań dotyczących bytu i tajemnicy, również tajemnicy eschatologicznej, człowieka. Nie jest to obszar dociekań dla dyscyplin naukowych, które mają być obiektywne i wystrzegać się sądów wartościujących. Nauka zostawia to kulturze i sztuce, a także wierze człowieka. Ale mimo iż wciąż nie znamy odpowiedzi na te zasadnicze pytania postawione przez starożytnych mędrców, to bogactwo pytań i poszukiwanie na nie odpowiedzi na przestrzeni wieków sprawia, że rozumiemy te wyjściowe pytania inaczej niż ludzie, którzy je postawili. Bo jak mówi Barbara Skarga: „ten, kto pyta, żyje inaczej”. Samo pytanie jest wartoś-

cią. Zmusza bowiem do zastanowienia nad sensem bycia, które jest nam dane. Nigdy go do końca nie zrozumiemy, gdyż jesteśmy istotami skończonymi. Ale poszukujmy. Może to jedyna rzecz, która jest nam naprawdę dana – poszukiwanie. W takim ujęciu linia prawdy i linia zbliżania się do niej ma charakter asymptoty. Linie te zbliżają się do siebie, ale ostateczne ich przecięcie się nie nastąpi nigdy.

Zbliżając się do końca wykładu chciałbym wyjaśnić istotną rzecz. W trakcie wypowiedzania tych wszystkich zdań czasem cytowałem wiernie czyjeś słowa, innym zaś razem jedynie powtarzałem sens czyichś myśli. Ale także wiem, ponad wszelką wątpliwość, że wypowiedziałem wiele zdań, które w ciągu lat gdzieś przeczytałem, ale źródła ich nie pamiętam. Jednakże te ważne zdania od czasu ich przeczytania uznałem za własne. Dlatego sądzę, że powinienem zakończyć ten wykład słowami Michela Montaigne'a sprzed kilku wieków: „Przeto rzec by można, żem ułożył bukiet z myśli innych ludzi, od siebie jeno sznurek dając, by je związać”.